

ZDAJĘ EGZAMIN KAŻDEGO DNIA

Z KRYSYNA JANDĄ o lady Makbet (tydzień temu odbyło się pierwsze przedstawienie) i Srebrnej Masce, przyznanej aktorce przez naszych czytelników, rozmawia Katarzyna Józefowicz

— Skoro Maska stała się pretekstem naszej rozmowy, zacznijmy ją od maskowania. Ile prawdy jest w obiegowym twierdzeniu, że aktor nigdy nie schodzi ze sceny — jako osoba cały czas wystawiona na widok publiczny musi się szczególnie kontrolować.

— Myślę, że wiele. Musimy spełniać obowiązki osoby, która jest nazywana osobą publiczną. Trzeba o tym po prostu myśleć.

— To potwornie męczące.

— Dlatego wszyscy staramy się uciekać. Kupujemy sobie jakieś domy na wsi, w głuszy, stawiamy mury. Jak najszybciej kupujemy jakiegokolwiek samochodu, byleby tylko nie być skazanym na jeżdżenie komunikacją publiczną. Wszystkich nas spotykają różne incydenty, łącznie z inwektywami. Więc zwyczajnie staramy się jakoś siebie ochronić.

— Dla Pani taką ucieczką jest dom?

— Dom — tak, oczywiście.

— Ale za to musi Pani spędzać bardzo dużo czasu w samochodzie.

— Tak, bo mieszkam dość daleko. Do niedawna mieszkalam w samym centrum Warszawy, chyba dosłownie na skrzyżowaniu wszystkich dróg. W związku z tym, kiedy urodziłam dwoje dzieci i wiedziałam, że czas domowy musi być poświęcony tylko im, specjalnie wyniosłam się dość daleko, żeby uniknąć niekontrolowanych wizyt.

— Marysia mówiła mi, że nadal prowadzicie Państwo dom otwarty.

— To jest zupełnie co innego. Kiedyś mieszkalam do tego stopnia w środku — między telewizją, wytwórnią filmową a teatrem, że łatwiej było do mnie podejść, niż do mnie zadzwonić.

— Czym popularność jest dla Pani dzisiaj?

— Myślę, że tak naprawdę po to pracujemy. Ze w gruncie rzeczy właśnie te nagrody są dla nas najważniejsze. Potwierdzają to wszyscy moi koledzy.

— Czy dowody popularności są tak samo dopingujące jak były na początku kariery?

— Proszę Pani, one są dzisiaj dwadzieścia razy ważniejsze niż na początku. Po dwudziestu latach pracy (rozmawialiśmy o tym z Januszem Gajosem — razem spotkało nas to szczęście) są potwierdzeniem, że nie „wypadamy z pociągu”.

— Wiem, że najtrudniej jest oceniać siebie, ale gdyby mogła Pani powiedzieć, czym zasłużyła sobie na uznanie i sympatię widzów?

— Wie Pani, to jest sprawa skomplikowana. Jeśli chodzi o telewizję, z doświadczenia wiem, że prywatne wypowiedzi przynoszą tyle uznania i sympatii co grane role. Myślę, że tak samo ważne jest to co mówimy od siebie, także na temat pracy, jak to kogo i jak gramy. Musimy pamiętać o tej drugiej stronie i w ten sposób dopełniać całości image'u.

— Co uważa Pani za najbardziej pociągające w aktorstwie?

— Nie wiem. Szłam do szkoły aktorskiej z nieświadomością tego, co mnie czeka. Moja rodzina nie miała nigdy nic wspólnego z teatrem, ani filmem. Pochodzę z tak zwanej porządnej rodziny, inżynierskiej. W czasie studiów urodziłam dziecko i znów — myślałam, że nie będę grała. No, może w przyszłości. A potem, po „Człowieku z marmuru”, po dwóch rolach w teatrze (Anieli w „Ślubach panieńskich” i „Portrecie Doriany Greya”) i po „Gumie do żucia” zrobiło się takie zamieszanie, że właściwie w sierpniu już miałam nazwisko. A zaczęłam „Człowieka z marmuru” w marcu.

— Ale nie chciała Pani, żeby Marysia została aktorką?

— Nie, to ona nie chciała. Więc zdziwiło mnie, gdy nagle postanowiła spróbować, a potem powiedziała, że zachorowała na tę piękną chorobę. Wiem, jak może to być okrutny zawód, jak upokarzające może być życie aktora.

— Na czym to okrucieństwo polega?

— Na tym, że to, czy jest się dobrym czy złym, widać w jednej sekundzie. Ze zdaje się egzamin każdego dnia. I na tym, że w brutalny sposób eliminuje się jednostki słabsze. One są do niczego niepotrzebne.

— O Pani debiucie należałoby powiedzieć, że było to wtargnięcie na ekran. Kiedyś znakiem firmowym Pani aktorstwa była naturalność i ekspresja, a teraz?

— Nie wiem. Ciągłe dostaję dużo listów od widzów. Teraz, po „Pestce” piszą do mnie 17-letnie dziewczyny, że dzięki temu filmowi zrozumiały rodziców, pierwszy raz postanowiły się z ni-

mi pogodzić, pojechać z ojcem na wakacje. Dostaję listy od młodych chłopców, którzy mówią, po tym filmie, że chcą się ożenić, a wcześniej nie mieli takiego zamiaru. Jeśli listy nie dotyczą filmu, tylko ludzie opisują mi swoje prywatne problemy, to znaczy, że to co robię ma sens.

— Ma Pani czas na czytanie listów?

— Na czytanie tak. Nie mam czasu na odpisywanie. To znaczy odpowiadam tylko w bardzo wyjątkowych sytuacjach.

— Konsternacja, jaka zapanowała po „Pestce” (w końcu to film także o polskiej hipokryzji), nie zniechęciła Pani do reżyserii filmowej?

— Nie. Ilość listów od młodych ludzi mnie dopinguje. No i 160 tysięcy widzów. A co do konsternacji — gdyby Pani zapamiętała, jaka konsternacja zapanowała po mojej roli w „Człowieku z marmuru”.

— Plany reżyserskie jakoś się skonkretyzowały?

— Pani Bojarska pisze scenariusz. A ja tydzień po premierze jadę na wybrzeże robić „Tristana i Izoldę”.

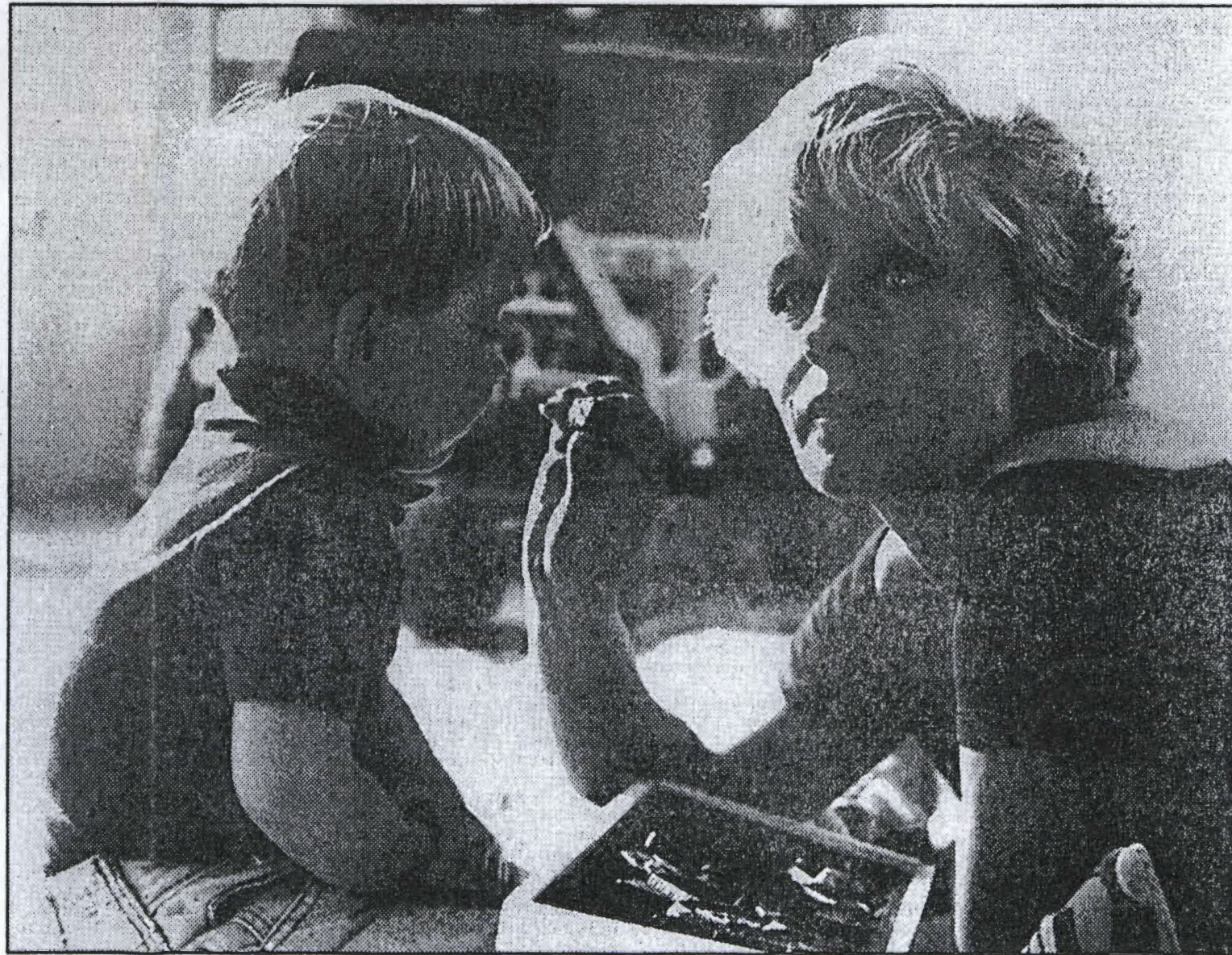
— Na co chciałaby Pani zaprosić naszych Czytelników?

— Niedługo będzie emisja „Cyda”, którego zrobiłam dla telewizji. We wrześniu premiera nowego filmu Ro-

berta Glińskiego „Matka swojej matki”. I „Makbet”.

— Rola lady Makbet należy do najtrudniejszych i najbardziej efektownych. Przygotowywała się Pani do niej w szczególny sposób?

— Przede wszystkim jest obciążona nieprawdopodobną legendą. Wszystkie największe aktorki świata grały tę rolę. A ja muszę po prostu robić ją zwyczajnie, tak jak kolejną normalną rolę. W bardzo specjalnej inscenizacji. Nie mogę o niej myśleć w ogóle, reżyser postawił przede mną konkretne zadanie na bardzo specjalny temat.



Krystyna Janda w „Pestce”